

Nowy niemiecki imperializm



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Walka o rozlokowanie imigrantów według kwot przypomina czasy, gdy Niemcy maszerowali

Niemcy, najważniejsza siła polityczna i gospodarcza Europy, przyjęły w obliczu kryzysu migracyjnego nową rolę: głównego autorytetu moralnego. Otwierając swoje granice dla imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, Berlin chciał pokazać, że jest altruistycznym państwem, stawiającym prawa człowieka ponad interesem narodowym. Wizerunkowa ofensywa, która miała zatrzeć wciąż żywą pamięć o Holokauście, a także o niedawnym brutalnym potraktowaniu Grecji, ma jednak drugie dno. Twardych korzyści.

Logika absurdu

Otwierając swoje drzwi dla Syryjczyków i Irakijczyków, Niemcy przygarnęły ludzi, którzy są im potrzebni, gdyż stanowią odpowiedź na pogłębiający się kryzys demograficzny. Przyznał to wicekanclerz Sigmar Gabriel, mówiąc: „Potrzebujemy tych ludzi dla zabezpieczenia naszego dobrobytu”. To, że Angela Merkel kierowała się nie altruizmem i chęcią pielęgnowania *Willkommenskultur*, tylko właśnie interesem narodowym, znajduje też potwierdzenie w fakcie, że niemieckie urzędy

pracy rozpoczęły już aktywne poszukiwania lekarzy, pielęgniarek i inżynierów w ośrodkach dla azylantów. Minister pracy Andrea Nahles dokonała dokładnych wyliczeń, ilu przybyszy z rozdartych wojną regionów nadaje się do zatrudnienia w przemyśle, a szef Daimlera, Dieter Zetsche, zazwyczaj wstrzemięźliwy w swych wypowiedziach, entuzjastycznie stwierdził, że „będzie rekrutował”.

Według oficjalnych szacunków Niemcy do 2050 r. będą potrzebowały ok. 500 tys. imigrantów rocznie, aby wypełnić powiększający się niedobór rąk do pracy. Merkel zagrała prosty gambit: ponieść finansowe koszty przyjęcia i integracji obcych kulturowo imigrantów w zamian za tanią siłę roboczą w zawodach, w których gospodarka odczuwa braki, i za miano najbardziej miłosiernego narodu UE. I można by wobec tego wzruszyć ramionami, a nawet pogratulować Niemcom zręcznego zagrania, gdyby nie to, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, a Berlin usiłuje przerzucić koszty swojej egoistycznej polityki na europejskich partnerów, w tym na Polskę. I to z pozycji moralnej wyższości.

Polityka otwartych ramion, która zapewniła Berlinowi takie nagłówki w światowej prasie, jak „Niemcy wzorem dla świata” czy „Niemiecka polityka uczuć”, dotarła do swoich granic. Niemieckie kraje związkowe nie radzą sobie z napływem uchodźców, siostrzana partia rządzącej chadecji, bawarska CSU, buntuje się przeciwko polityce centrali, w niektórych miastach konfiskuje się prywatne mieszkania, by umieścić w nich imigrantów, zawieszając tymczasowo prawo do

Merkel zagrała prosty gambit: ponieść finansowe koszty przyjęcia i integracji obcych kulturowo imigrantów w zamian za tanią siłę roboczą w zawodach, w których gospodarka odczuwa braki, oraz za miano najbardziej miłosiernego narodu UE

własności. Na tej samej zasadzie pozbawia się ubogich Niemców mieszkań socjalnych. Jednostki Bundeswehry są przenoszone z koszar do namiotów w lesie, by zrobić miejsce dla przybyszy. A ci, niezadowoleni z warunków, w których przyszło im żyć, napadają na sklepy i wszczynają burdy na tle etnicznym i religijnym. W niektórych ośrodkach dla azylantów gnieździ się nawet do 2 tys. osób kilkunastu narodowości. Dominują syryjscy sunnici, usiłujący narzucić pozostałym prawo szariat i szczególnie prześladowujący chrześcijan.

Niemiecki kontrwywiad zidentyfikował wśród uchodźców już 29 bojowników Państwa Islamskiego.

Nie przyznać się do błędu

Niemcy zaczynają się bać. Plakaty z radosnym „Witamy” po angielsku i arabsku dawno zniknęły z ulic miast. Strach nie jest dobrym doradcą, ale nie jest nim również ulubiona maksyma pani kanclerz: „gdzie jest wola, tam znajdzie się i droga”. Im dłużej trwa kryzys imigracyjny, tym bardziej Merkel traci w sondażach. Pragmatyczna kanclerz, zmuszona wybierać między udawaną dobrocią a pokojem społecznym, wybrała ten ostatni. By nie musieć przyznawać się do błędu (podczas posiedzenia frakcji CDU/CSU stwierdziła, że „ma w nosie, że odpowiada za obecny kryzys imigracyjny”), szuka kozłów ofiarnych. System rozlokowania imigrantów według kwot zdejmuje z Niemców część odpowiedzialności, pozwala im pozbyć się „nadwyżki” w postaci imigrantów nie nadających się do pracy i integracji i stanowi legitymizację dotychczasowej polityki. Merkel dobrze wie, że obecna fala imigracyjna to dopiero początek i że za w miarę wykształconymi Syryjczykami i Irakijczykami podążą kolejni. Mniej wykwalifikowani. Z Afryki subsaharyjskiej, Afganistanu, Pakistanu. Dla nich w Niemczech już nie będzie miejsca. Ich Niemcy nie okryją ciepłym płaszczykiem tolerancji. „Nasze możliwości są ograniczone” – przyznał prezydent Joachim Gauck.

Imigranci mimo to przyjadą. Nie dotarła do nich informacja, że Niemcy zamknęły granice i zaostrzyli prawo imigracyjne i że szansę na azyl i zasiłki w germańskim eldorado będą mieli już tylko politycznie prześladowani i uciekinierzy z regionów wojennych. A jeśli dotarła, to

nie dają jej wiary. Niemcy otworzyli puszkę Pandory. Francuski wywiad mówi o milionie osób szykujących się do podróży do Europy, inni, jak węgierski rząd – o 25 milionach. To przerażająca perspektywa.

Miłosierni Niemcy zdjęli więc aksamiitne rękawiczki i zaczęli reszcie Europy przykręcać śrubę. Mamy być solidarni i przygarnąć część tych, których Niemcy zaprosili do siebie. Walka o rozlokowanie imigrantów według kwot przypomina czasy, gdy Niemcy maszerowali. Dziś jednak – jak pisze publicysta niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”, Jan Fleischhauer – maszerują w sandałach Birkenstock i z tolerancją na sztandarach. Wynik jest ten sam: dyktat, przymus, arogancja – twierdzi komentator znad Renu. A przysłowiowy „arogancki Niemiec” (*der haessliche Deutsche*), szef Parlamentu Martin Schulz, grozi krajom Europy Środkowej i Wschodniej „siłą”, jeśli nie będą warować. Prymitywny szantaż ubrany w szaty moralności. Z jednej strony dobrotliwe Niemcy, z drugiej rzekomo ksenofobiczne i egoistyczne Węgry, Polska, Słowacja, Rumunia i Czechy. Berlin, chowając się – jak często – za Unią Europejską, najpierw unieważnił umowę dublińską, potem układ z Schengen, zamykając z powrotem granice, a następnie przepchnął w sprawie imigrantów głosowanie w Radzie UE.

Wsparcie otrzymał od innych zachodnich stolic, które rzuciły się przede wszystkim na Węgry. Kanclerz Austrii, Werner Faymann, nazwał Orbána bez ogródek „faszystą” za to, że próbował bronić zewnętrznych granic UE. O ile można zrozumieć wyrzuty sumienia Francji, Włoch czy Wielkiej Brytanii, które posiadały kolonie w Afryce i na Bliskim Wschodzie, obaliły reżim Muammara Kadafiego, zatopiły libijską marynarkę wojenną (która walczyła z przemytem ludzi przez Morze

Śródziemne), a następnie, tak jak to za zwyczaj robi Zachód, zostawiły Libię samą sobie, w efekcie czego jest ona państwem upadłym, o tyle zawzięta obrona niemieckich interesów w wydaniu Belgii, Austrii czy Hiszpanii może tylko zdumiewać. Da się to wytłumaczyć jedynie świadomością, gdzie znajduje się centrum władzy w Europie. I chęcią przybrania tych samych moralnych szat, co Niemcy.

Mniejsi od Słowacji

Najsmutniejsze jest jednak to, że Polska uległa temu szantażowi. Głosowanie w Radzie UE było próbą samodzielności, której nie zdaliśmy. Odwróciliśmy się przy tym od naszych partnerów z Grupy Wyszehradzkiej, choć mieliśmy z nimi – po latach sporów – wspólny interes. I zrobiliśmy to w zamian za absurdalne zapewnienie, że otrzymamy w przydziale uchodźców, a nie ekonomicznych imigrantów. Absurdalne, bowiem Niemcy nie radzą sobie z rejestracją przybyszy i wpuszczają każdego, kto twierdzi, że ucieka przed wojną. Większość tych ludzi nie posiada dokumentów, zresztą – jak sprawdził pewien holenderski dziennikarz – wyrobienie syryjskiego paszportu trwa 40 godzin i kosztuje zaledwie kilkaset dolarów. Obiecano nam także, że przyjęty mechanizm nie będzie automatyczny. Na razie nie jest. Mamy jednak mocne podstawy, by się obawiać, że podobnych głosowań będzie w przyszłości więcej i *nolens volens* tymczasowe rozwiązanie zamieni się w stałe. A wówczas możemy być pewni, że będzie stosowane nie tylko w kwestii imigrantów.

Nawet największy głupiec zdaje sobie sprawę z tego, że wprowadzanie mechanizmu rozdziału imigrantów przy braku jakichkolwiek bodźców zniechęcających do przybywania do Europy jest jak za-

proszenie. Godząc się na niemiecki dyktat, utrudniliśmy sobie ewentualne późniejsze próby stawiania oporu – gdy imigrantów do rozdzielania nie będzie 60, a 600 tysięcy. Brak twardej postawy dziwi tym bardziej, że Bruksela nie dysponuje skutecznymi instrumentami sankcji. Obcięcie unijnych funduszy, czym groził nam szef

W nowej ustawie imigracyjnej Berlina znajduje się zapis stanowiący, że każdy imigrant umieszczony w innym kraju UE zgodnie z systemem kwot, który wróci do Niemiec, zostanie bezzwłocznie deportowany

Komisji Europejskiej, Jean-Claude Juncker, wymagałoby renegocjacji traktatów i budżetu UE, by wprowadzić do nich warunkowość przyznawania pomocy strukturalnej. To niewykonalne w obecnych ramach finansowych. Jeśli w ogóle. Każda renegocjacja traktatów trwa długo i pociąga za sobą poważne ryzyko rozsadzenia UE. A kary finansowe, które Bruksela może nam zasądzić za niestosowanie się do decyzji Rady, są znikome wobec zagrożenia ze strony niekontrolowanej imigracji. Małeńka Słowacja zrobiła to, na co my powinniśmy byli się zdobyć: odmówiła przyjęcia uchodźców i zaskarżyła decyzję rady UE do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. I jak Unia wciśnie Słowakom imigrantów bez ich zgody? Zrzuci ich z samolotów?

Można oczywiście argumentować, że nie ma o co drzeć kotów, przecież imigranci nie chcą być w Polsce i wrócą do Niemiec. To błędne założenie. Niemcy już zabezpieczyli się przed taką ewentualnością. W nowej ustawie imigracyjnej Berlina jest zapis stanowiący, że każdy imigrant umieszczony w innym kraju UE zgodnie z systemem kwot, który wróci do Niemiec, zostanie bezzwłocznie deportowany. Imigranci, których przyjmujemy, będą naszym problemem. I my poniesiemy koszty ich deportacji. A nie jesteśmy na to przygotowani.

Jednostronna solidarność

Argument moralnej odpowiedzialności, obowiązku bycia solidarnym, jest jeszcze bardziej absurdalny. Kiedy Niemcy okazali nam, Polakom, solidarność? Gdy nie zgodzili się na bazy NATO w naszym kraju? A może podpisując umowę na budowę drugiej nitki gazociągu Nord Stream? A wobec Węgrów? Może wtedy, gdy Merkel groziła Orbánowi, że wyśle do niego kawalerię, bo nie spodobały jej się zmiany w węgierskiej konstytucji? Niemcy dbają wyłącznie o własny interes. Poniekąd słusznie, tylko dlaczego my także mamy o niego dbać? Od krajów, które dołączyły po upadku komunizmu do UE, po tylu latach wciąż oczekuje się wdzięczności za to, że pozwolono im wejść do zacnego brukselskiego klubu, choć zostały w nim relegowane do przedpokojów. Nie mogliśmy przeprowadzić żadnych ważnych dla naszych interesów koncesji na rzecz wschodnich sąsiadów, bo „Unia bała się nielegalnej imigracji”. A dziś te wszystkie unijne strachy okazały się nieważne.

Jak by na to nie spojrzeć, przegraliśmy z niemieckim imperializmem. Politycznym, gospodarczym i – moralnym.